

Andrzej Żurek – absolwent 1984, nauczyciel wychowania fizycznego

Alfabet licealisty - wybór

Bułki - świeżutkie, pachnące po 1,50 za sztukę. Na rogu ulic Brodzińskiego i 1 - go Maja (dzisiaj 3 - go Maja) istniała cukiernia „*U Bielaka*” jak ją nazywaliśmy, chociaż oficjalnej nazwy nie miała. Można było w tejże cukierni kupić ciepłutkie, ociekające lukrem „kręcone” drożdżówki z porannego wypieku. Popyt na owe słodkości był tak duży, że często brakowało najdłuższej przerwy na stanie w kolejce, a o spóźnieniu się na lekcje nie było mowy. Zbieraliśmy więc zamówienia z całej klasy na „bułki” (tak je wtedy nazywaliśmy) biorąc po 1,70 zł za sztukę. Dzięki znajomościom (bez tego w socjalizmie ani rusz) wchodziliśmy do cukierni prawie od zaplecza i kupowaliśmy towar dla całej populacji IV b. Zostawało przy tym 0,20 zł różnicy z każdej bułki i tym sposobem mieliśmy wyżywienie przez jakieś kilkanaście miesięcy, dopóki nie zarzucono nam „spekulacji” (dzisiaj - patrz „przedsiębiorczość”) i procederu - może nieoficjalnie, ale zabroniono.

Chleb – był. A jakże! Chociaż trzeba było za nim odstać swoje. Często zdarzało się (prawie codziennie), że dorastająca młodzież ok. godziny 11²⁰ (duża przerwa) cierpiała na ogromne ssanie w żołądku. Nie wszyscy z nas byli zaopatrzeni w kanapki – może nie z powodu braku środków, ale jak wspomniałem ogromnych kolejek w piekarni. Na ratunek głodomorom, może nawet nie zdając sobie sprawy, przychodziła szkolna stołówka. Ponieważ chleb na stołówkę do obiadu przywożono z przydziału i zawsze o tej samej porze, panie kucharki, aby mieć „z głowy”, kroił go i wystawiały od razu na stoły. A, że drzwi na stołówkę były zazwyczaj otwarte, jeden wybraniec z klasy pod pozorem złego samopoczucia wychodził przed końcem lekcji i wykradał po kilka kromek z każdego wystawionego koszyka. Tym sposobem dożywiało się kilka klas licealistów. Najtrudniejszą rzeczą w tym wszystkim było zakradnięcie się do stołówki niezauważonym. Największą porażką było to, gdy okazało się, że zostaliśmy uprzedzeni i w stołówce buszował już osobnik z innej klasy. Honorowo trzeba było się wycofać i nie psuć roboty rówieśnikowi - a nuż się podzieli?

Furtka - znajduje się obok bramy głównej. Istniało przekonanie, że tylko temu się „upieczce”, kto wejdzie do szkoły furtką, a nie bramą, bo ta ponoć przynosiła pecha. Osobnik, który szedł do szkoły nieprzygotowany obowiązkowo wchodził furtką mając w świadomości jej ochronną moc. Gdy po lekcjach wychodził zadowolony, że ominęła go kolejna „pałka” z „matmy” wychwalał po niebiosach magiczne właściwości furtki. W przeciwnym wypadku, przeklinał co nie miara, że znowu furtkę wymalowano i straciła ona swój cudowny charakter. Nadmieniając fakt, że furtka znajduje się na wprost okien pokoju nauczycielskiego, nie lada wyczynem było prześlizgnięcie się niezauważonym, ponieważ nauczyciele również wiedzieli o magicznych właściwościach furtki. Najlepiej było wmieszać się w dużą grupę wchodzących, a nuż nie zapamiętają wszystkich nieprzygotowanych z IV b?

Papierosy- w pewnym okresie towar tak rzadki jak banany czy pomarańcze. Każdy uczeń - palacz, a paliło się wcale nie mniej niż teraz, który posiadał zdobyty w tylko jemu wiadomy sposób ów rarytas, był w tym dniu: najlepszym kolegą, królem, panem, władcą, cesarzem i czym tam jeszcze wymyślać. A paliliśmy identycznie jak teraz – najczęściej w toaletach, chociaż bywało, że w kotłowni, harcówce, szatni, a kto mieszkał w pobliżu szkoły na przykład na osiedlu Kopernika wychodził na fajkę do domu. Nigdy natomiast nie paliło się przed szkołą lub w jej otoczeniu. Zdarzały się „dyżurne toalety”, gdzie na przerwach zbierali się amatorzy wonnego liścia i wypalali po jednym „klubowym”, „radomskim” czy „de-esie” (albańskie „śmierdziuchy” - ale co zrobić). Gdy okazało się, że toaleta za często jest odwiedzana przez nauczyciela przenoszono się do innej i na jakiś czas

był spokój. Złapanie na gorącym uczynku groziło karą od dyrektora, ale gorsza była utrata dopiero rozpoczętej paczki, w szczególności, gdy to była paczka Marlboro po 40 zł „spod lady”. W czasach głębokiej biedy papierosowej „wynalazcy” cięli suszone liście orzechowe, kasztanowe a palacze więcej tytoń od dziadka ze stodoły. Bieda ta dotykała nie tylko palaczy – uczniów, ale i palaczy- nauczycieli. I w tym właśnie okresie wzmagaly się kontrole w toaletach. Nosiliśmy więc po jednym lub dwa w paczce, aby w razie wpadki strata nie była za duża. Zdarzyło się nawet, że za odstąpienie od czynności służbowych (skierowanie na rozmowę do dyrektora) przekupiono nauczyciela dwoma „radomskimi”.